

**David
Gilmour**

Są takie chwile, gdy niespodziewanie sięga się w przeszłość po garść minionych chwil i ogląda je z lubością niczym znaleziony gdzieś na strychu ulubiony obraz z dzieciństwa. Taki właśnie jest nowy album Davida Gilmoura, *On An Island*.

wielka tekst

Gilmour, David Gilmour.

Pamiętasz tę noc? Białe stopnie w świetle księżyca... Napływają wspomnienia. Kilku przyjaciół spogląda w rozgwieżdżone niebo nad Kastellorizon – grecką wyspą w południowo-wschodniej części Morza Egejskiego. I nagle pierwsze dźwięki gitary rozlewają czarę nostalgii, tak jak przeszło 30 lat temu na wspomnienie pewnego Szalonego Diamentu...

Swoją enigmatyczną wyspę wspomnień David Gilmour kreował od dłuższego czasu. *Trwało to dość długo* – wyznał w marcowym numerze pisma „Mojo” – *ponieważ przez lata gromadziłem krawki różnych pomysłów na minidyskach i ostatecznie nie byłem pewien, które wziąć na warsztat, a z którymi się rozstać. Z pomocą przyszedł wieloletni przyjaciel – Phil Manzanera, były gitarzysta Roxy Music: Przesialiśmy z Davidem cały zbiór zostając z czterdziestoma szkicami. „Doskonale!” – powiedziałem. „Trzy płytowy album!” Biedak wystraszył się. Ziarno zostało zasiane, ale tym razem nie było w tym wszystkim tak charakterystycznej dla Pink Floyd zwojy mileżeni. O tym, że David pracuje nad swym solowym dziełem, wiedzieliśmy już od dawna. On sam z nieskrywaną radością wykonywał „Smile” podczas akustycznych koncertów w 2002 roku, zachęcając bootleggerów do uruchomienia zakamuflowanych po różnych częściach garderoby urządzeń. Później nadeszła wiadomość, że gitarzysta Pink Floyd bywa od czasu do czasu w naszym kraju, odwiedzając w Krakowie Zbigniewa Preisnera. I jeśli nawet początkowo wielu uważało tę rewelację za dziennikarską kaczkę (wliczając niewietnego autora), ostatecznie mogli ją już tylko przybić do ściany studia w Niepołomicach. Gilmour bowiem odwiedził tam kompozytora w 2004 roku, a kiedy zadzwonił w niespełna rok później, mając za sobą występ u boku Rogera Watersa, Nicka Masona i Richarda Wrighta podczas koncertu Live 8, nadszedł czas na rewizję.*

W Anglii David dostarczył Preisnerowi ukończone demo pozostawiając mu całkowicie wolną rękę. Powstało przepiękne orkiestrowe tło, miejscami monumentalne, nawiązujące do aranżacji Michaela Kamena na *The Division Bell*. Ale tu, w samych orkiestracjach jest jeszcze ten wyjątkowy „podpis malarza” – preisnerowski romantyzm zamknięty w smyczkach, który przyniósł mu międzynarodowe uznanie. Podobnie zupełnie niepowtarzalny pozostaje styl gry Ricka Wrighta na organach Hammonda. Z całą pewnością jego dyskretne, ale jakże charakterystyczne partie w utworze tytułowym sprawiają, że duch wszechmocnego Floyd’a tli się tam nieprzerwanie. A jednak bez wątplenia jest to przede wszystkim zasługa doskonałego zmysłu melodycznego Gilmoura, który po raz kolejny ukazuje swoje oblicze mistrza nastroju. Jak sam przyznaje, czasem, kiedy próbuje zasnąć na Astorii (swej luksusowej mieszkalnej barce-studiu), nagle pojawia się w jego głowie melodia, która nie pozwala mu zmrużyć oczu. Boi się, że gdy ją zamknie, straci ją bezpowrotnie...

Ujmujące harmonie wokalne, dalekie echo floydowskich *Ech*, tu zasługa Davida Crosby’ego i Grahama Nasha. Zachwycony występem dwóch trzecich składu słynnego Crosby, Stills and Nash w zeszłym roku, David zaprosił artystów do udziału w sesji. *Po prostu zaciągnąłem ich na moją łódź* – opowiadał z uśmiechem dziennikarzowi „The Word” *Są tak niepowtarzalni. Ochrzciliśmy się Crosby, Gills and Nash...*

Pamiętasz tę noc?

To ciepło i śmiech

Świece płonęły

Choć iś kocioł był pusty

Gdy nastał świt, zeszliśmy w dół, ku przystani

Marsyciele odejdą, ale tu będą zawsze

Gi nieobecni marzyciele, o których śpiewa Gilmour, to wspomniany wcześniej Michael Kamen i również nieżyjący już Tony Howard – związany z managementem Pink Floyd przez niemal trzydzieści lat. *Tony był ode mnie starszy, a Michael po pięćdziesiątce. Ostatnie dziesięć lat to był istny pogrom. Moja siostra zmarła. Mama odeszła kilka lat temu. Wielu znajomych i członków rodziny wykruszyło się. Ja i Polly bardzo mocno to odczuliśmy. Jeden z utworów, „The Blue”, to coś na kształt „z prochu powstałeś i w proch się obrócisz”. Tyle, że w tym przypadku to nie proch, a morze. Ponowne zejście się z morzem. Kiedyś wszyscy się tam znajdziemy. Jedni niestety znacznie szybciej niż inni... tak naprawdę wolalibyśmy o tym nie mówić.*

Leszek Możdżer pochyla się nad *A Pocketful Of Stones*.



Foto: Dariusz Kawała

miłość i szacunek

ROZMOWA Z LESZKIEM MOŻDŻEREM

Czy zanim doszło do pana współpracy z Davidem Gilmourem, słuchał pan Pink Floyd?

Owszem. Przed laty, gdy byłem jeszcze w szkole podstawowej, a może w liceum, zafascynował mnie na przykład album *The Wall*. Podobał mi się jego rozmach, przepych aranżacyjny. Podobało mi się potraktowanie płyty jako rodzaju słuchowiska.

A jak doszło do spotkania z Davidem Gilmourem i udziału w nagraniu płyty *On An Island*?

Zbyszek Preisner zaproponował mi swojego pianistę. Dzięki niemu poznałem Davida Gilmoura. Popracowaliśmy chwilę w studiu w Krakowie. Powiedział: *Świetnie, niech chłopak zagra.*

Kiedy to było?

22 marca ubiegłego roku. Gilmour przyjechał ze wstępny demówką. Przywiózł dwa utwory. Zbyszek zaproponował mi na szybko rozwiązania aranżacyjne, które zrealizowaliśmy w studiu. I tak to się zaczęło.

Rozumiem, że Gilmour w tych krakowskich nagraniach nie uczestniczył jako muzyk?

Nie. Siedział w reżyserce, obserwował, dzielił się z nami uwagami. Dzień wcześniej spotkaliśmy się ze Zbyszkiem Preisnerem tylko we dwójkę u niego w domu. Wytlumaczył mi, o co mu chodzi. I opracowaliśmy jeden z przywiezionych przez Gilmoura utworów, żeby mu go pokazać. To znaczy Zbyszek przygotował aranżację, ja wykonywałem tylko jego polecenia. A później już w studiu przy udziale Gilmoura, który sam proponował jakieś rozwiązania harmoniczne, miał pewne sugestie aranżacyjne, przygotowaliśmy wstęp do utworu *A Pocketful Of Stones*. Ten wstęp, który został na płycie.

Właściwa sesja odbyła się kilka miesięcy później w Londynie...

W październiku ubiegłego roku.

Pana partie były nagrywane w studiu Gilmoura na barce Astoria?

Nie, na barce jest bardzo mało miejsca i nagrywanie partii fortepianu w ogóle nie wchodzi tam w grę. Fortepian by się tam po prostu nie zmieścił. Dlatego nagrywałem w Abbey Road – razem z orkiestrą symfoniczną.

Jaka atmosfera panowała podczas tej sesji?

Bardzo miła, mimo że wokół nas przez cały czas krążyło około dziesięciu kamer, które wszystko filmowały i trochę nas rozpraszały. Świadomość, że każdy ruch, każdy gest, każde słowo są rejestrowane, utrudniała pracę. Z drugiej strony było to niecodzienne doświadczenie: kiedy grałem swoje partie, filmowało mnie aż dwóch kamerzystów, jeden z lewej, drugi z prawej strony, co się raczej nieczęsto zdarza.

Z tego, co wiem, materiały te wykorzystano tylko w krótkim filmie zrealizowanym z myślą o promocji płyty...

Pojawiają się na stronie internetowej Gilmoura – są montowane na bieżąco i z każdym dniem jest ich tam więcej, więc pewnie prędzej czy później pojawi się tam również coś z sesji z moim udziałem.

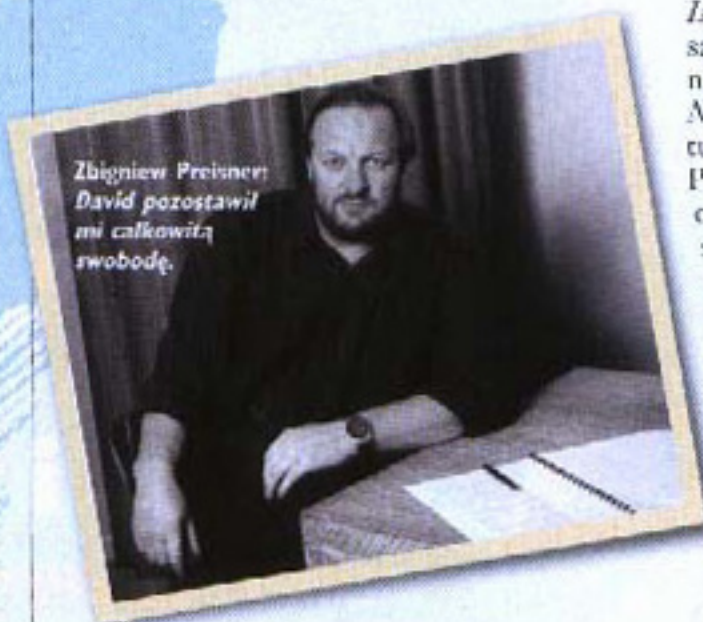
*Fala za falą
Niesie nas w błękit
Unosząc w dal
Przenika na wskroś
I zamienia w błękit*

*Zacsekaj na mnie
Bessztydne morze
Wkrótce, Błękitie,
Już wkrótce...*

A jednak powraca do tego tematu i jak sam przyznaje, świadomość własnej śmiertelności dręczyła go od bardzo dawna. Być może dlatego tak łatwo odnajdywał się w bolesnej materii, jaką przez lata serwowało Pink Floyd pod bezlitośnie prawdziwym piórem Rogera Watersa. On sam zresztą podejmował te wątki – chociażby na swej poprzedniej solowej płycie oddalonej od *On An Island* o dwadzieścia dwa lata. Nagrana niejako z potrzeby ducha w chwili, w której, jak mu się wówczas wydawało, Pink Floyd popadło w stagnację i marazm, *About Face* mimo miejscami łagodnej, leciutko melancholijnej, a czasem i ostrzejszej melodyki, jawiła się jako ta, z której świadomość śmiertelności wyzierała chłodnym spojrzeniem w poruszających balladach takich jak *Out Of The Blue* czy niemal żalobna *Near The End*. To również on, już pod skrzydłami własnego Pink Floyd, prześlizgiwał się wspomnieniami po rzece Cam konstatując z nutą gorczy, że wówczas trawa była zieleniejsza. Ale nie tym razem. Tym razem księżyc jest jaśniejszy, a Gilmour ze spokojem przyjmuje status rockowego dziadka. Co nie przeszkadza, by w *The Blue* gitara uroniła jeszcze kilka łez...

Po raz kolejny odzywa się tu dobry floydowski duch. Tym razem wokalnie. *To nie do końca taki Rick*, jakiego próbowałem z niego wydusić – utylista wspomina na łamach pisma „The Word”. *On sam twierdzi, że nie potrafi już dotrzeć do niektórych nut, ale wydaje mi się, że to raczej kwestia chęci. Narzuciłem mówiąc, skłonienie go, by zaśpiewał, zajęło mi sporo czasu. Jego matieżstwo przechodzi trudne chwile... stąd zapewne ten opór...* Dla Gilmoura czas jest niezwykle łaskawy. Zatrzymał się i dla jego głosu, i dla charakterystycznego gitarowego łkania wieńczącego ten cudownie nastrojowy odpowiednik *Us And Them*. Zatrzymał się i dla porywających solówek, choćby w nieco bardziej drapieżnym *Take A Breath* (miejscami przywodzącym nawet na myśl *Easy Money* King Crimson). W jego nagraniu brał udział zwerbowany przez Zbigniewa Preisnera Leszek Możdżer, znakomity pianista, choć jeśli jego fortepian naprawdę istnieje gdzieś w miksie, został po prostu przygnieciony ścierającymi się gitarowymi frazami. Zdecydowanie wyraźniej słychać jego grę w lirycznym, znów poruszającym kwestię przemi-

Zbigniew Preisner o współpracy z Davidem Gilmourem



Zbigniew Preisner: David pozostawił mi całkowitą swobodę.

Zbigniew Preisner opowiedział w styczniu o współpracy z Davidem Gilmourem Jackowi Cieślakowi z „Rzeczpospolitej”. Publikujemy kilka najciekawszych wypowiedzi kompozytora zaczerpniętych z tego wywiadu.

W 2004 roku David przyjechał do Polski i gościł u mnie w studiu w Niepołomicach. Po przerwie na Live 8 i wakacje zadzwonił, że ma gotowy materiał. Odwiedziłem go w Anglii, gdzie dostałem płytę z nagraniami w wersji próbnej. Na tej podstawie stworzyłem orkiestrację. David pozostawił mi całkowitą swobodę. Mogłem zmieniać harmonie, wydłużać kompozycje, dopisywać im nowe wstępy. (...) Mieszkając u niego i nagrywając, czułem się swobodnie, jak z kolegą. Pracowało mi się z nim jak z Krzysztofem Kieślowskim. Po nagraniu był szczęśliwy. Nie spodziewał się, że orkiestracja tak bardzo może zmienić jego płytę. Wspominał, że właściwie nie chciał mu się już nic robić, ale teraz nabrał apetytu na granie. Raz jeszcze okazało się, że nieważne, gdzie się mieszka, czy skończyło się szkole muzyczna, czy historia sztuki. Liczy się to, czy mamy coś do powiedzenia. Dla mnie było to niesamowite przeżycie, choć już jestem za stary, żeby się podniecać. (...) Myślę, że album jest początkiem fajnej znajomości. David chce zagrać w Polsce koncert promujący płytę w niebanalnym miejscu...

Zbigniew Preisner zwierzył się też: Byłem w Londynie, kiedy Floydzi zgrywali na Astorii swój występ po koncercie Live 8. (...) Namawiałem ich, żeby grali razem. Panowie nie kryli różnic. David wspominał mi nawet o jednym dużym koncercie Floydów, który miałby być ostatecznym pożegnaniem zespołu. Proponowałem, żeby odbył się w Polsce, w Nowej Hucie. To było kilka miesięcy temu. Teraz dla Davida najważniejszy jest album i promujące go koncerty...

ania *A Pocketful Of Stones*. Te wszystkie wymienione perły zostały w hołdzie floydowskiej tradycji bardzo zmyslnie poroździelane instrumentalnymi miniaturami i nawet jeśli to tylko miniatury, dodają albumowi tego charakterystycznego smaku i finezji, jaka od dawna towarzyszyła płytom macierzystego zespołu Gilmoura. Dzięki *Red Sky At Night* oraz *Then I Close My Eyes* słuchając *On An Island* ma się nieodpartą chęć zanurzenia dłoni w taflę jeziora. To są właśnie te ulotne chwile introspekcji, sięgania w przeszłość, niesamowicie trafnie uchwycone muzyką i tak jak w *Red Sky At Night* brzmienie saksofonu (Gilmour odważył się zaprezentować tu swoje niedawno nabyte umiejętności) i delikatne smyczki Preisnera potęgują metafizykę, tak drugi utwór rozbrzmiewa ciepłą melancholią dzięki trąbce Roberta Wyatta. Jego udział w sesji to swego rodzaju podziękowanie za przywrócenie do muzycznego życia. Były perkusista Soft Machine w 2001 roku wyciągnął Davida z domowych pieleszy wprost na scenę zorganizowanego przez siebie festiwalu Meltdown. Było to uczucie na tyle pozytywne, iż po kolejnych koncertach w styczniu 2002 roku (występy udokumentowano znakomitą płytą DVD) Gilmour nabrał zapалу do pracy nad swym solowym dziełem. Chwile spędzone w domowym zaciszu u boku Polly i dzieci stały się dodatkową inspiracją...

*Wszystko jest dokładnie jak należy
Gdy po tych polach przechadzamy się
Kiedy wyciągam ku twojej twarzy dłoń
To ziemskie niebo jest tym, czego chcę...*



Była felietonistka niedzielnego wydania „Timesa” i odnosząca sukcesy pisarka związana z Gilmourem od 1994 roku, tak jak w przypadku *The Division Bell* była gitarzyście podporą w zwerbalizowaniu tych wszystkich chwil zadumy, oglądania się za siebie. A także spojrzenia w chwilę obecną, dostrzegania i doceniania faktu, że być może kiedyś trawa była istotnie zieleńsza, ale jej obecna barwa daje mu wiele satysfakcji. Gilmour zresztą nie kryje, że taki stan rzeczy zawdzięcza temu, co ich łączy. Daje temu wyraz w *This Heaven*, w znanym już, choć tu jeszcze cudowniej kołyszącym *Smile*, ale przede wszystkim w niesłychanie ujmującym nastrojem finale, o śpiewnym, lirycznym refrenie. I romantyzmie, który, tak jak cały album, rozsadza serce od środka...

*Idziemy snużeni, w dłoni dłoni
Pozwól do domu
Poprzez mrak*

*Walc przy księżycu, tłą się drzewa
Tak wiele za nami
Przed nami wciąż dal...*

MICHAŁ FLORCZAK



*Lustereczko, powiedz przecie...
Że nie ten cholerny Waters.*

W opisie na płycie pana nazwisko figuruje przy dwóch utworach, oprócz *A Pocketful Of Stones* także *Take A Breath*. Ale zdaje się, że uczestniczył pan też w nagraniu innych kompozycji?

To prawda. I choć nie miałem jeszcze czasu przesłuchać całej płyty uważnie, swoje dźwięki znalazłem w co najmniej trzech, przy których nie ma mojego nazwiska. Natomiast akurat w *Take A Breath* w ogóle fortepianu nie słyszę. Tak więc z tych rzeczy, które zagrałem w tym utworze, nie słyszę niczego i dziwię się, że akurat przy nim znalazło się moje nazwisko. Ale w innych słyszę na przykład pojedyncze uderzenia fortepianu przepuszczonego przez Leslie czy jakieś inne dźwięki, jednakże w ilościach sładowych, więc może rzeczywiście wymienianie mnie przy tych tytułach nie miało sensu. Podczas sesji grałem w wielu utworach, ale tylko w *A Pocketful Of Stones* moja partia zachowana została prawie w całości, natomiast w innych zostały tylko jakieś fragmenty.

Czy wszystkie pana partie zostały napisane przez Zbyszka Preisnera, czy może proponował pan też coś od siebie?

Zrealizowałem wszystkie partie napisane przez Zbyszka Preisnera, ale niektóre, jak w *A Pocketful Of Stones*, skomponował sam David Gilmour i ponieważ podczas sesji zorientowałem się, że jest dość mocno przywiązany do tego, co sam zagrał na fortepianie, starałem się za daleko od tego nie odbiegać. Myślę, że zależało mu na tym, by nie odbiegało to za bardzo od tego, co sobie wyobraził. Proponowałem też coś od siebie, ale nieszczęściem było to, że większość utworów usłyszałem po raz pierwszy w studiu i z marszu musiałem coś zaproponować. No i to, co udało mi się trafić, zostało. Dodam, że z rzeczy napisanych przez Zbyszka też część wypadła, bo Gilmour zagrał niektóre partie fortepianowe na gitarze, do czego miał oczywiście prawo, bo to przecież jego płyta. W każdym razie, gdybym poznał wszystkie kompozycje wcześniej i mógł popracować nad nimi w domu, może zaproponowałbym coś bardziej sensownego i więcej z tych moich partii zostałoby na płycie. Czasu miałem jednak mało, a bez znajomości kontekstu, bez świadomości, jak te utwory brzmią w całości oraz który następuje po którym, trudno w biegu zaproponować coś, co na sto procent wejdzie na płytę. Poza tym moje partie były realizowane razem z orkiestrą; nikt do nich specjalnie nie przywiązywał wagi na tym etapie produkcji, nagraniem orkiestry było priorytetem, bo jej wynięcie to są olbrzymie pieniądze. Pamiętam moment, kiedy wszyscy z przerażeniem patrzyli na zegar, bo orkiestra była wynajęta do piętnastej, było za dwie trzecia, a zostało jeszcze pięć minut muzyki do nagrania. Baliśmy się, że inspektor wstanie w połowie utworu, pokaże na zegarek i przerwie sesję. Takie sytuacje czasem się zdarzają.

Była okazja, żeby poznać Davida Gilmoura trochę bliżej?

Trudno poznać kogoś w kilka dni. Ale wydaje mi się, że podarował mi bardzo dużo czasu i serca. Ogromnie to sobie cenię. A bliższy kontakt miałem z nim, kiedy był w Krakowie. Było to akurat w dzień moich urodzin, Zbyszek Preisner urządził u siebie wspólną kolację, spędziliśmy przemiłą wieczór w gronie fajnych ludzi. Słuchaliśmy razem Myślovitza i Niemena, były też zabawne sytuacje, kiedy na przykład Gilmour zobaczył u Zbyszka winylowe wydanie płyty Pink Floyd, którego nigdy wcześniej nie widział.

A jakie wrażenie zrobiła na Panu żona Davida Gilmoura, Polly Samson? W materiale opublikowanym niedawno przez miesięcznik „Mojo” pojawiła się opinia kogoś spośród jego współpracowników, że jest osobą dominującą, wprowadzającą niezbyt przyjemną atmosferę podczas sesji...

Absolutnie się z tym nie zgadzam. Moim zdaniem tworzą piękną parę. David Gilmour darzy żonę miłością i szacunkiem. Naprawdę miło na nich patrzeć – to bardzo harmonijny związek.

Rok temu w „Rzeczpospolitej” pojawiła się sugestia, że David Gilmour zastanawia się, czy płyta *On An Island* ma być jego solowym dokonaniem, czy może dziełem Pink Floyd...

Ja o niczym takim nie wiem. Z moich rozmów z Gilmourem raczej wynikało, że powrót Pink Floyd nie nastąpi prędko.

Czy będzie Pan uczestniczył w koncertach Gilmoura?

Był taki moment, że zarezerwowałem jakieś terminy dla nas, ale później się okazało, że gra bez orkiestry, bez gości. A poza tym... Podobalo mi się to, co Gilmour powiedział: że chciałby być znowu nieznanym muzykiem, który robiłby swoje rzeczy. Nie jest to oczywiście możliwe, ale w jakimś sensie idzie właśnie tą drogą i muzykuje dla własnej przyjemności.

Czy współpraca z Davidem Gilmourem była dla pana dużym przeżyciem?

Uczestnictwo, chociażby przez moment, w działaniach faceta, który miał wpływ na historię muzyki, zmieniał jej bieg, to coś bardzo emocjonującego.

rozmawiał: WIESŁAW WEISS

DAVID GILMOUR

5 maja 2006, Royal Albert Hall, Londyn

Elegancki portier w białej kurtce i czerwonej marynarce zagląda na mój bilet i uprzejmie wskazuje drogę. Schody w dół, wąskie przeszklone drzwi oznaczone jako Arena F i po chwili schody – mniejsze, tym razem w górę, wychodzące tuż przy poblizu sceny. W tej samej chwili spływa na mnie uczucie szczytu i niesamowitości znalezienia się w jednej z najważniejszych sal koncertowych na świecie...

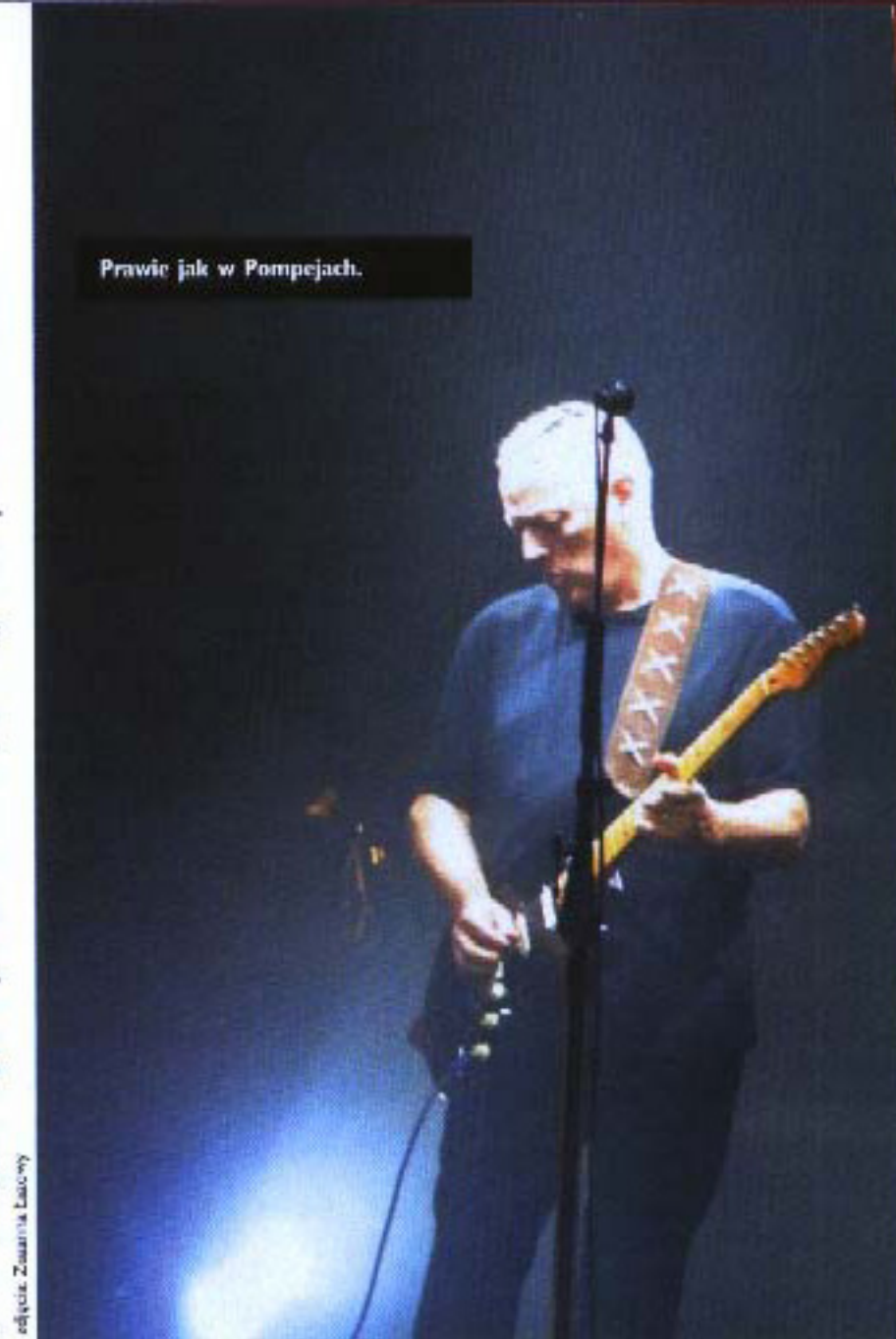
Ciemność przelamały miarowe uderzenia serca. *Breathe, breathe in the air...* zaintonował Gilmour. I choć reflektory oświetlały najmocniej jego sylwetkę, chyba największą radość sprawił mi widok Ricka Wrighta z instrumentami klawiszowymi. Wydawał się być pełen energii i jeśli nawet w początkach projektu *On An Island* miał pewne obawy czy wątpliwości, wyglądało na to, że zupełnie je odrzucił. Zaraz obok niego, nieco niżej, usadowił się Jon Carin, a jeśli dodać do tego Guya Pratta dzierżącego gitarę basową i spektakularną oprawę świetlną, nic dziwnego, że pomimo absencji Nicka Masona uległem złudzeniu uczestniczenia w koncercie Pink Floyd lat 90. Rozdziwiony się zegary – idealnie zsynchronizowane z omlotkami publiczności światłami odbitymi od wysoko podwieszonych obrotowych luster. A kiedy Gilmour z Wrightem na przemian wykonali pełne żalu zwrotki pod adresem bezlitosnego czasu, bohater wieczoru zakończył, jak to określił, „rozgrzewkę” i zapowiedział całość *On An Island*. W chwilę później popłynęła dźwiękowa pocztówka z Castellorizon. Gdy światła ogarnęły całą scenę, obok Guya Pratta i wspomagającego Gilmoura w roli gitarzysty Phila Manzanery pojawili się David Crosby i Graham Nash. Bliscy siedemdziesiątki panowie o

wciąż niesamowicie czystych głosach nadali tytułowemu utworowi niezwykłego blasku. Podczas poprzednich koncertów, jak choćby zarejestrowanego dla BBC w Mermaid Theatre, tej iskry zabrakło. Ich wokalne harmonie są nie do podrobienia. Obaj panowie pozostali jeszcze na scenie, by uświetnić wykonanie *The Blue*. Rick Wright w charakterystyczny dla siebie sposób uzupełniał pastelowymi planami klawiszy ciche zawrodozenie gitary Gilmoura. Trzeba zaznaczyć, że gitarzysta traktował swoje partie z o wiele większą swobodą aniżeli w latach poprzednich, podczas koncertów Pink Floyd, kiedy to bardzo często wykonywał poszczególne frazy nuta w nutę. Sporo bluesowego improwizowania pojawiło się w *This Heaven, zas Then I Close My Eyes* było pod tym względem niezaprzeczalną perłą. O ile Gilmour grający na saksofonie jest czymś niecodziennym (*Red Sky At Night*), o tyle Gilmour grający pośród szumu fal na małym banjo trzymanym prawie pod brodą to widok, którego się nie zapomina. Nagle zrobiło się jeszcze spokojniej, jeszcze bardziej melancholijnie niż na płycie. Piękny, rozmarzony temat muzyki potraktowali jako bazę do krótkich solowych improwizacji. Kiedy na scenie pojawił się Dick Parry, całość stała się niedalekim echem *Us And Them*, zakończonym wzruszającą nutą trąbki Roberta Wyatta. Podobnie ciekawie, jeszcze liryczniej niż na albumie, zabrzmiały *Smile* i *Where We Start*. Bez wątpienia ogromna w tym zasługa stylu Jona Carina i Ricka Wrighta. Ten ostatni skradł pierwszą połowę drugiej części koncertu, grył po otwierającym ją *Shine On You Crazy Diamond* (w nieco oszczędniejszej aranżacji, doskonale uwypuklającej partie wokalne

Crosby'ego i Nasha) oraz uzupełnionym długim, rozbudowanym solo *Fat Old Sun*, popłynęły dźwięki *Arnolda Layne*. Rick udowodnił, że nie tylko potrafi śpiewać na żywo lepiej, niż można się spodziewać, ale nadal potrafi z pasją wykonywać swoje słynne „turkish delight”, czyli pamiętne psychodeliczne solówki na organach Farfisa. Dobrze było widzieć go w tak doskonałej formie. Usłyszeć na żywo piosenkę z pierwszego singla Pink Floyd wykonaną po blisko czterdziestu latach od jej powstania to uczucie bardzo radosne ale i mocno surrealistyczne. Samego Wrighta czekały jeszcze dwie wielkie chwile – gdy rozbrzmiały pierwsze akordy *The Great Gig In The Sky* (zaproszona do jego wykonania Mica Paris nieco jednak rozczarowywała) oraz gdy w zupełnej ciemności rozpoczął bodaj najwspanialsze 20 minut tego koncertu... Ping! Odbity od zwierciadła błady promień oświetlił pianistę... Zaśpiewali unisono tak jak niegdyś, w Pompejach. Tym razem jednak lawa lała się ze sceny – aż dziw bierze, że tych świetlik już panów wciąż stać na perfekcję i dynamizm, które zmiotły z piedestału jakiegokolwiek inne koncertowe wykonania *Echoes*. Szum wiatru, krakanie wron i gęsta mgła spowijająca wszystko wokół... W kulminacyjnym momencie całą przestrzeń ponad naszymi głowami posiekały rozszalałe lasery. Zaraz potem scena wybuchła tak nieopisaną feerią barw, że wszystko wydawało się płonąć... Gdy ostatnie echa utonęły w kosmicznym zgiełku, publiczność paderwała się z miejsc. Nawet bisy w postaci *Wish You Were Here*, *Comfortably Numb* czy krótkiego, wykonanego a cappella *Find The Coast Of Freedom* (z repertuaru Crosby, Stills, Nash & Young) już do końca nie były w stanie dotknąć wyzwolonych wcześniej emocji.

MICHAŁ FLORCZAK

Prawie jak w Pompejach.



edycja: Zuzanna Łasowy

Rick Wright: Wielki spektakl na niebie.



Prawie jak Pink Floyd.





DAVID GILMOUR
On An Island [M]
★★★★★

■ Castellorizon; On An Island; The Blue; Take A Breath; Red Sky At Night; This Heaven; Then I Close My Eyes; Smile; A Pocketful Of Stones; Where We Start

■ Skład: David Gilmour – voc, g, p, s, perc, b; Richard Wright – org, voc; David Crosby – voc; Graham Nash – voc; Rado Klose – g; Guy Pratt – b; Andy Newmark – dr; Leszek Możdżer – p; Chris Thomas – k; Chris Stainton – org; Jools Holland – p; Phil Manzanera – k; Bj Cole – g; Robert Wyatt – co. voc, perc; Willie Wilson – dr; Zbigniew Preisner – opracowanie partii orkiestrowych
■ Produkcja: David Gilmour, Phil Manzanera, Chris Thomas

Najpierw pojawiają się jakieś niepokojące dźwięki gitary. Po chwili klawisz i orkiestra tworzą delikatny nastrój. W końcu, w drugiej minucie i szesnastej sekundzie, pojawia się „ta” gitara. Kilka prostych, ale jakże ujmujących i od razu rozpoznawalnych dźwięków.

W połączeniu z klawiszowym

tem wylania się klimat rodem niemal z *Shine On Your Crazy Diamond*. To instrumentalne intro, zatytułowane *Castellorizon*, które po chwili przechodzi w przepiękny utwór tytułowy.

Podobno David Gilmour zastanawiał się, czy wydać ten album pod własnym nazwiskiem, czy może pod szyldem Pink Floyd. Ostatecznie postanowił zrobić to, co Roger Waters chciał zrobić ponad dwadzieścia lat temu: pogrzebać nazwę Pink Floyd. A płytę wydać jako dzieło solowe. I dobrze się stało, bo nie jest to płyta Pink Floyd. Wydaje się zbyt intymna, zbyt wyciszona. Chociaż ma w sobie naprawdę wiele z ducha twórczości zespołu.

Utwór *On An Island* z charakterystyczną partią organów Hammonda w wykonaniu Richarda Wrighta ma w sobie tę samą przestrzeń co kompozycja z *The Division Bell*. Choć z drugiej strony głosu Davida Crosby'ego i Grahama Nasha, tak pięknie budujące harmonię, przywołują skojarzenia z ich twórczością. Floydowski wydaje się też oniryczny *The Blue*, zaśpiewany w dwugłosie z Wrightem i ozdobiony solówką Gilmoura zagraną techniką slide. Po tym delikatnym powtórzeniu nieco mocniejszy i trochę dziwny *Take A Breath*. Choć z drugiej strony David gra tu jedną z bardziej charakterystycznych solówek. Takich dynamiczniejszych momentów na płycie nie ma wiele. Może jeszcze *This Heaven* o nieco bardziej wyrazistym, bluesowym rytmie i to wszystko. Reszta to już istna kraina delikatności, jak w przypadku akustycznej, zaaranżowanej przy użyciu minimalnych środków ballady *Smile*.

Siłą gry Gilmoura było zawsze niesamowite wycucie melodii. I to się nie zmieniło. Nawet wtedy, gdy sięgnął po nowy dla siebie instrument, czyli saksofon. *Red Sky At Night* to znany powrót, może jeszcze bardziej wyraźny do klimatu spod znaku *Shine On...*

Pinkfloydowy klimat unosi się nad całością *On An Island*. I nie powinno to nikogo dziwić. Wystarczy spojrzeć na listę muzyków, jacy zostali zaproszeni do nagrania płyty. Oprócz wspomnianego Wrighta mamy tu basistę Guya Pratta (muzyka od dawna wspierającego Pink Floyd), klawiszowca Chrisa Staintona (kiedyś członka watersowskiego zespołu), perkusistę Williego Wilsona (drugiego bębniarza z koncertów *The Wall*) czy perkusistę Andy'ego Newmarka (jednego z uczestników sesji *The Final Cut*, później wspierającego przez jakiś czas Rogera Watersa). Współproducentami płyty był zaś Phil Manzanera z *Roxy Music* (miał niemały wkład w powstanie płyty *A Momentary Lapse Of Reason*) i Chris Thomas (miksował *The Division Bell*).

A skoro o gościach mowa. Nas przede wszystkim cieszą rodacy: Zbigniew Preisner, który przygotował orkiestrową oprawę całości, i Leszek Możdżer, który zagrał na fortepianie w kilku utworach (choć jego nazwisko pojawia się przy dwóch – *Take A Breath* i *A Pocketful Of Stones*). Jeśli chodzi o najlepsze „nasze” momenty płyty, to wskazałbym przede wszystkim na *A Pocketful Of Stones*. Zazwyczaj muzyce Pink Floyd i Davida Gilmoura towarzyszyła charakterystyczna orkiestracja niezjącego już Michaela Kamena. Tymczasem Zbigniew Preisner wspaniale zaznaczył w tej właśnie kompozycji własną osobowość. I nasycił ją aurą mogącą kojarzyć się z filmami Krzysztofa Kieślowskiego... A Leszek Możdżer? Pięknie odnalazł się w tym wszystkim i pokazał, że równie dobrze jak w jazzowym graniu czuje się w artrockowych klimatach.

Swoją drogą nie spodziewałem się, że kiedykolwiek zobaczą polskie nazwiska na płycie prawie Pink Floyd. To miłe. Zwłaszcza, że *On An Island* to album naprawdę niezwykły.

MICHAŁ KIRMIĆ

